



Autobiografia. Literatura. Kultura. Media  
nr 1 (18) 2022 | s. 145–159  
ISSN (print) 2353-8694  
ISSN (online) 2719-4361  
DOI: 10.18276/au.2022.1.18-12



## FRAGMENTY AUTOBIOGRAFII

WINCENTY GRAJEWSKI

# Memoreski (część pierwsza)

I

29%

Dwieście jubileuszowych lat warszawskiej polonistyki udało mi się megalomańsko odczarować i odformalizować, kiedy policzyłem, że byłem przy 29/100 tego czasu, a pośrednio znacznie dłużej, bo w roku 1960 przynajmniej jeden z profesorów powtarzał to, czego go nauczono przed niemal półwieczem, zaś w podręcznym księgozbiornym w BUW-ie stały na półkach podręczniki jeszcze starsze.

Potem pomyślałem tak: jako polonistyczna monada – liczona w osobogodzinach – jestem tak drobnym ułamkiem sztafety polonistycznych pokoleń, że mógłbym, nie popełniając większego błędu, siebie nie zauważyć i w ten sposób wykluczyć. A wtedy – jako zewnętrzny obserwator – spróbować napisać quasi-etnologiczny raport o kulturze tego plemienia. Niestety, nie robiłem notatek, nie patrzyłem uważnie i nie miałem kwestionariusza.

Cóż więc mogę zrobić?

Utworzyłem, sam się zdziwiłem, że nie udało mi się wygooglować tego słowa, neologizm (ambitnie, w funkcji nazwy gatunkowej) na określenie tego, co piszę. Brzmi: memoreska, więc w liczbie mnogiej: memoreski. To – nierymujące się z imponderabilia – memorabilia. Rymują się z arabeską, humoreską, groteską. Ukrywają w sobie *mores* (w obu liczbach).

A zatem kilka memoresek.

---

\* Kontakt z autorem: [wgrajewski@gazeta.pl](mailto:wgrajewski@gazeta.pl). Tekst, będący realizacją poetyki zapisu z pamięci, publikujemy na życzenie autora w wersji niezredagowanej.

## Łzy

[1960] Kiedy, starając się nie podskakiwać co dwa stopnie, wchodziłem na trzecie piętro budynku przy Oboźnej, bo tam czekał mnie ustny egzamin wstępny (tak, tak, proroczo w pokoiku 314, należącym do Katedry Teorii Literatury...), na półpiętrze nie mogłem się nie zatrzymać: przytulona do ściany, jak gdyby chciała w niej zniknąć, stała piękna dziewczyna i płakała.

Czemu płakała? Ach, płakała na zapas, na myśl, że jej pragnienie, pragnienie studiowania polonistyki, się nie spełni. Najpierw skompromituje się na egzaminie. A potem...

Potem w grę wchodzi socjologia tego płaczu. Składając papiery na polonistykę, nasza maturzystka musiała, aktem buntowniczej autoafirmacji, przeciwstawić się zdziwionej, zaniepokojonej i psioczącej rodzinie („Mogłabyś studiować coś praktycznego, co daje dobry zawód, godziwy zarobek. Przecież masz dobre stopnie z biologii i innych ścisłych. Polonistyka to nic pewnego...”). Jak się będzie czuła, słysząc zadowolone: „A, widzisz! Przez te fanaberie tylko straciłaś rok...”?

\*\*\*

[1997] Wzorowa studentka, autorka nienagannej, wręcz gotowej do publikacji, pracy, doskonale przygotowana nie tylko do egzaminu, ale już do rzetelnej pracy naukowej, przepłakała cały swój egzamin magisterski. Trzy kwadranse szlochania z krótkimi pauzami, w których komisja formułowała pytania i otrzymywała początki odpowiedzi, tonące po chwili w potoku łez. Przyszła pani profesor sama nie wiedziała, dlaczego płacze. I to nie pozwalało jej przestać płakać.

Jak rozumieć ten symptom?

Przemówiła fizjologia perfekcjonistki. Egzamin był dla niej za wcześnie, by czuła się w pełni przygotowana, nad tekstem pracy też chciałaby jeszcze popracować, a tu nieuniknione terminy (bo trzeba mieć magisterium, by dostać się na przewidziane, niezbędne, studia doktoranckie). I katastrofa: nagła paraliżująca rozpacz bycia (przez godzinę) kimś niedoskonałym.

\*\*\*

Powiadają wprawdzie, że dobrze jest się wypłakać, miło jest też móc osuszyć czyjeś łzy, jednak doprowadzanie kogoś do płaczu bywa czymś szkaradnym. Na polonistyce, jak wszędzie, czasem się to zdarza(ło).

## Książki

Pierwsza anegdota, wciąż mam nadzieję, że apokryficzna, jaką uraczył studentów pierwszego roku nudny i uroczysty profesor, dotyczyła Aleksandra Brücknera, który to uczony zwykł ponoć po przeczytaniu nieparzystej i parzystej strony jakiegokolwiek publikacji (wszystkich publikacji) wrywać kartkę i – skutecznie zmiętą – wyrzucać. Aby przez pomyłkę nie zacząć czytać drugo raz tego samego...

Anegdota miała wzbudzać podziw i szacunek. Jakaż pamięć, jaki intelektualny apetyt! Mnie przerażała.

Swoją pierwszą książkę, niby nic niezwykłego, oprawiony rocznik tygodnika dla dzieci, czytałem nieskończoną ilość razy. Potem, kiedy odkryłem publiczną bibliotekę i możliwość szperania w księgarni, doświadczałem czegoś z porządku „wyboru obiektu” – uszczęśliwiającego, erotycznego. Książka, żeby ją zjeść i wyrzucić resztki? To nie mieściło mi się w głowie.

Książki były rzadkie: Stanisław Balbus przywoził dla Bogdana Owczarka i dla mnie starannie opracowane fotokopie Proppa i Wołoszynowa z biblioteki Henryka Markiewicza (czy profesor o tym wiedział?); trzeba było je prędko przeczytać, by wróciły na swoje miejsce. Przywieziony przez Eugeniusza Czaplejewicza mikrofilm *Freudyzmu* Wołoszynowa czytałem, posługując się rzutnikiem – zabawką dziecka (leżałem na podłodze, a tekst wyświetlał się na suficie; byle jaki rzutnik niebezpiecznie się rozgrzewał, trzeba było po kilkunastu klatkach wyłączać i przemyśleć w ciemności to, co przeczytane). Dwa egzemplarze Frejdenberg, ten z BUW-u i ibłowski, były na przemian u Danuty Danek i u mnie (bo terminy zwrotu...). I jeszcze poniedziałkowe polowania w księgarni PAN, negocjacje z Marią Janion – co dla niej, co dla mnie z francuskich książek „potargowych”...

Były, wciąż są, książki nieczytane (niepokochane). Ileż razy podchodziłem do dyżurnej bibliotekarki prosić o rozcinacz... W BUW-ie niektóre książki pokryte były wojennym pyłem, dobrze byłoby dotykać je w jednorazowych rękawiczkach, ale ich nie miałem.

\*\*\*

Prawdziwy literaturoznawczy bestseller XXI wieku to *Jak mówić o książkach, których się nie czytało*<sup>1</sup> Bayarda. Nie powiem o nim nic, bo ją kiedyś przeczytałem.

---

<sup>1</sup> Pierre Bayard, *Jak rozmawiać o książkach, których się nie czytało* (Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy, 2008) [przyp. red.].

## Śliwka w czekoladzie i tajemnice ptci

Wiosną 1961 ćwiczenia z literatury staropolskiej stały się przewidywalne: posłuchamy dwudziestominutowego referatu, pan magister podsumuje jego treść w pięć minut (przemily młody uczoney nie lubił się popisywać swoją, zbyt dla nas gruntowną, wiedzą), zapyta, kto chce zabrać głos, po czym przez godzinę pobrylują studenci. Dobrana piątka: pilny, poważny, dowcipny, odcytany i nie gorszy od pozostałych. Trzydzieści studentek uprzejmie im na to pozwoli, trochę słuchając, ale bardziej zajmując się wiosną za rozświetlonym oknem.

Aż tu nagle jednemu z piątki wpadło do głowy: dzisiaj złożymy ślub milczenia, nikt z nas nie może zabrać głosu.

Po dwudziestu pięciu minutach zaległa cisza. Prowadzący powtórzył zachętę, raz i drugi... Cisza trwała. Piątka złożyła ślubowanie, a panie, zafrapowane nowością sytuacji, siedziały, nieporuszone, czasem tylko zerkając w stronę ostatniego rzędu na milczących kolegów. Kiedy po trzecim zaproszeniu nic się nie zmieniło, pan magister sięgnął po swoją okazałą teczkę z jasnej skóry i wyjął z niej (ciszę przerwał słaby szelest celofanu) śliwkę w czekoladzie – łąko rozpoznawalny i wtedy deficytowy. „To będzie nagroda dla osoby, która zabierze głos”.

Cisza.

W końcu nie wytrzymał dowcipny. Nie pamiętam, kto jeszcze coś powiedział (ja byłem chyba wierny ślubowaniu). Główny mówca z cynicznym błyskiem w oku zjadł śliwkę...

\*\*\*

Ponurą jesienią 1963 spotkała naszego łąkomczucha kara.

Ćwiczenia z historii literatury mieliśmy mieć z Kottem, ale Kotta zatrzymały zagraniczne wykłady lub choroba. Zastępował go jego asystent (wtedy było się czymś asystentem), wzruszająco nieśmiały. I w zajęcia znowu wkradła się „dzenderowa” patologia. Ważne teksty – Irzykowski, Berent itp. – stały się okazją do mniej lub bardziej wyszukanych zabaw w przydługie, możliwie niezrozumiałe komentarze, parodie uczonych żargonów: taki kabaret, którego występów prowadzący zajęcia, choć wcale się nie bawił, nie umiał przerwać. Koleżanki uśmiechały się, trochę znudzone, i milczały.

Dowcipny łąkomczuch, teraz łasy na nasz poklask, przygotował na kolejne zajęcia coś, co miało być *akme* uczonego absurdu. Z zadowoloną miną czekał na swój numer. A tu drzwi się otwierają i przed panem asystentem wchodzi Kott...

Mina artyście zrzędała. Teraz była to mina skazańca. Zamiast zaimprovizować coś rozsądnego i przyzwoitego – przeczytał, wyraźnie zawstydzony, to, co miał napisane.

Kott przysłuchiwał się zajęciom i nie odezwał się jednym słowem.

Następne, już sam, zaczął jakby nigdy nic, bez najmniejszej aluzji do zeszlotygodniowego blamażu. Po kilku zdaniach wstępu (omawianym tekstem byli *Ludzie bezdomni*) zadał pytanie dla uczonej młodzieży niezrozumiałe, tak było bezceremonialnie proste. I stał się cud...

Dziewczyny zaczęły się odzywać. Kott rozmawiał z nimi nie jak uczonego autorytet, ale jak zwykły przekorny rozmówca, którego trzeba przekonać, czerpiąc argumenty z tekstu powieści (a panie przeczytały Żeromskiego starannie), z „życiowej wiedzy” i z chytrze rozbudzanej pytaniami mistrza (że to mistrz, wiedzieliśmy po kwadransie) wyobraźni historycznej. W tej rozmowie, czasem żartobliwej, czasem demaskatorskiej (Kott wiedział, jakie „niewygodne” pytania zadać biednym *Ludziom bezdomnym*) powstawała, jakby od niechcenia, spójna i sugestywna lektura powieści.

No i tempo! To było *allegro con brio*. Niezbyt piękny, jeśli dobrze pamiętam, głos Kotta doskonale współbrzmiał z sopranami i altami zarumienionych i szczęśliwych koleżanek.

Grupowi mędrkowie wychodzili z zajęć bladzi, zawstydzeni i trochę przestraszeni. Przez kilka zajęć byli prawie niemi.

Raz jeden się na nie spóźniłem, i to pół godziny. Oglądałem w pobliskiej Skarpie *Osiem i pół* i nie umiałem wyjść przed końcem (ale do głowy mi nie przyszło, że można opuścić Kotta). Tłumaczę się nieśmiało, a Kott przerywa mi, chwali mój grzech, po czym tak buduje, wciąż w formie rozmowy ze spóźnialskim, dygresję o Fellinim, że uzyskuje płynne i nieprzypadkowe przejście do właściwego tematu.

Po wielu, wielu latach, kiedy podsuwano mi miniaturowy magnetofon, by zarejestrować to, co zdarzy mi się powiedzieć, myślałem o dydaktycznej magii ćwiczeń Jana Kotta: jaka szkoda, że tych zajęć nie zapisano...

II

### Jan Zygmunt Jakubowski

Nie myślę egzorcyzmować polonistyki, przepędzając z niej zmitologizowane demony. Nic nie wiem o Janie Zygmuncie. Widywałem go. Był malowniczy: artystyczny i plebejski, profesorski i knajacki. Z wiecznym gasnącym papierosem w samym kąciку ust. Jakby ręce miał zajęte rękodziełem. Ale nie miał. Lubił Grochowiaka, był profesorem turpistą.

Chodziłem do niego dwa razy, po prośbie.

Najpierw po podpis na wniosku o przyznanie sali (Brudzińskiego) na sesję naukową Koła Polonistów i doktorantów z teorii.

Podpisał, uprzejmie pytając, o czym. „Ma tytuł «Aktualność formalizmu»”, odparłem z dumą.

„Myślałem, że już przewyciężyliśmy”.

Powiedział to tonem, którego nie umiem określić inaczej jak wisielczy humor. Wisielczy humor historiozoficzny.

W gabinecie byli Roch Sulima i Jan Witan. Przedtem się dziwiłem, jak mogli wybrać Jakubowskiego, jak mogą z nim wytrzymać. Miałem odpowiedź. Nie chodziło o to, by cierpieć nieprzyjemności, licząc na łaski despoty, na jego wpływy. On był interesujący.

12 marca 1968 przyszedłem, półprzytomny z niepokoju, po opinii o nienagannej postawie studentki piątego roku Anny Grajewskiej. Adwokat powiedział, bez specjalnego przekonania, że może się przydać, by jakoś wyciągnąć ją z aresztu. Profesor napisał opinię błyskawicznie. Oczywisty ludzki gest. Wiedział, rzecz jasna, że to na nic.

\*\*\*

Między tym, kim człowiek jest, a tym, w jakiej roli obsadza go opinia, zawsze jest jakiś rozróżnienie, miejsce na komedię albo dramat. To nie boskie, to ludzkie igrzysko.

III

### O Marii Janion (z prywatnej krypty pamięci)

Dwie młodziutkie Marie, Janion i Żmigrodzka, musiały mignąć w moich licealnych lekturach, tekstowo zaistniały jednak już jako solidne uczone, kiedy wiosną 1963 roku odczułem przymus przeczytania czegoś mobilizującego przed egzaminem z historii literatury (staropolska, oświecenie, romantyzm). Improwizowanym lektorium była ogromna łąka-ugór między Grochowem a Saską Kępą, zielona dzika plaża z książką o Siemieńskim rozłożoną w cieniu wybujałych chwastów. Podobało mi się: rzeczowość, energia, nic z polonistycznego przynudzenia.

Potem pojawiły się postać i głos: wyraziste, osobne *emploi* w iblowskim teatrze. Postać – jakby Maria Dąbrowska w wersji *heavy*, głos – kontralt płynnie przechodzący od spokojnej powagi do wyważonego patosu, jeszcze nie głos mistrza, jeszcze trochę głos najlepszej uczennicy, ale na najlepszej drodze, by stać się głosem przywódczyni.

(Maria Dąbrowska nie tylko przez uczesanie).

Mam tu dość złożony splot osobistych skojarzeń, który ucieszyłby psychoanalityka. Chodzi, by nazwać rzecz ogólnikowo, o zetknięcie z mądrą kobiecością, jego szczęśliwe i nieszczęśliwe warianty.

To było w teatrze (Dramatycznym). Student z prowincji, zabrałem swoją Mamę (Marię) na *Anioła* [co] *zstąpił do Babilonu*. Przyszliśmy za wcześnie i czekając na otwarcie drzwi na balkon, byliśmy przez chwilę sami. Zaraz jednak wfrunęła do *foyer* drobniutka siwa dama

i uśmiechnęła się do nas. „To Maria Dąbrowska”, szepnąłem. Otworzono drzwi. Autorka *Nocy i dni* krokiem małej dziewczynki minęła nas, zmierzając do swoich, i jeszcze zobaczyłem jej, już do mnie adresowane, wesołe akceptujące mrugnięcie.

Dlaczego ta scenka przylepiła się do wspomnień o Pani Profesor? Przez (kontrastowy) wariant akceptującego spojrzenia?

Wracam do teatru iblowskiego. Przez rok byłem w nim comiesięcznym komicznym statystą.

Skończyło mi się stypendium doktoranckie. Etatu dla mnie, bezpartyjnego, na uniwersytecie zabrakło, choć uczyłem już w prawie pełnym wymiarze. Troskliwy profesor Żółkiewski załatwił mi „etat zastępczy” w IBL-u. Przyszło podpisane przez dyrektora Kazimierza Wykę pismo, bym „stawił się celem podjęcia obowiązków” i ustalił je z opiekunem naukowym, a tym została, taki surrealistyczny żart, Maria Janion. Humanistka rozumiejąca sprawująca nadzór nad agresywnym adeptem socjo-semiotyki!

Czym chcę się zajmować, zapytała, kiedy się stawiłem. Althusserem. Niech będzie, zgodziła się.

Co miesiąc należało w kadrach zostawić karteczkę z podpisem Pani Profesor, że przyjęła sprawozdanie z wykonanej pracy. Sprawozdanie ustne. Jak nim zawracać głowę pochłoniętej własnymi poszukiwaniami uczonej?

Znalazło się eleganckie wyjście, perypatetyczne. Dla rozprostowania nóg i odetchnięcia po lekturach i dyskusjach w gabinecie Pani Profesor miała w zwyczaju krótki energiczny spacer po iblowskim korytarzu. I wtedy można było czasem załatwić mniej ważne sprawy. Cztery przejścia pod akompaniament Althusserowskich motywów, w trakcie czwartego uprzejmie przyjętych do wiadomości, i podpis.

To była wersja dzienna moich (nie)spotkań z Marią Janion. Była też wersja wieczorna, kiedy Janion zjawiała się na konwersatoriach Stefana Żółkiewskiego, by stanąć w szranki z dehumanizującym obiektywizmem semiotyki w imię Ducha, Szaleństwa, Pasji. Nie tylko dla mnie moment zachwyty, zgrozy i obcości. Jak w kinie.

### W pałacu i ogrodzie

Bardzo to było miłe. Krytycy filmowi, którym przewodził wtedy Konrad Eberhardt, zaprosili Marię Janion i mnie do pałacu w Zaborowie. Chcieli się podszkolić w ogólniejszej wiedzy humanistycznej. Nie pamiętam, o czym mówiłem (może jakieś semiotyczne nudziarstwa), ale wykład Janion pamiętam w miarę dobrze: mówiła o znaczeniu Freuda dla rozumienia kina. To był pewnie pierwszy wariant jej wspaniałych parafraz *Der Dichter und das Phantasieren*. Dla większości uczestników szkolenia była to fascynująca nowość, w dodatku podana w dydaktycznie nienagannej formie. A Pani Profesor czasem zerkała na mnie, by z zadowoleniem stwierdzić, że się nie nudzę (musiałem mieć minę „jak dobrze Ona to robi”).

Dyskusji plenarnych nie pamiętam. Zdaje się, że krytycy filmowi wstydzieli się siebie nawzajem, jednak po obradach grupkami lub w pojedynkę oblegali swoich gości. Więc z Panią Profesor rozmawiałem niewiele.

Jeszcze był zaśnieżony park oświetlony tylko przez pałacowe okna – z widokiem na mrok...

Pakt zaborowski dotyczył zatem Freuda. Podziwiałem dobry gust autorki *Gorączki romantycznej*. Freud, nie Jung! Nie ta aberracja, która skusiła Przybylskiego i Rymkiewicza, najbrzydziej wyrażona w *Akropolu i duszyczce* Herberta. Mrok rozświetlany światłem zwyczajnego rozumu, w codziennej rozmowie jednostek, a nie jakimś nadprzyrodzonym światłem Mądrości Gatunku.

### Ciemno w Jastarni

Którejś z ponurych zim po 1968 konferencja teoretycznoliteracka odbyła się w Jastarni. Przyjechała generalicja (ach, wypad na wódkę do obscurnego baru z profesorami Żółkiewskim, Markiewiczem, Ziomkiem...), królowała zaś Janion, teraz charyzmatyczna Mistrzyni z Uniwersytetu Gdańskiego. Jej tamtejszy, przesympatyczny zresztą, dwór nie pozwalał nie swoim na zbyt częste audyencje. A ja, zblazowany outsider, nie zabiegałem o to. Ale czułem, co znaczy Jej obecność.

Od czasu do czasu konferencja teoretycznoliteracka jest świętem debiutantek (w mojej pamięci nic nie przebiję *entrée* Teresy Walas na konferencji w Ustroniu, gdy nagle, spóźniona, jak wypada, zjawiała się nie wiadomo skąd, ciemnowłosa, w białym futrze). Wśród debiutantek w Jastarni jedna wyróżniała się urodą, czerwoną spódniczką i rezolucją. Czekałem więc niecierpliwie na zwyczajowy bal. Ale obrady trwały, niczego z nich nie pamiętam.

Tymczasem wyróżniającej się debiutantce przytrafiła się gafa – znane nazwisko z „sh” wymówiła z angielska z „sz”. I w pewnych kręgach uznano to za ośmieszający skandal, powtarzano jako wiadomość dnia z wielkopańskimi uśmieszkami. Oczyma duszy widzę reakcję Janion na ten okazjonalny ostracyzm. Niesmak.

Bo ta Wielka Dama polskiej humanistyki była organiczną demokratką. Wspólnotę wokół siebie budowała na tolerancji i zrozumieniu, nie na wykluczeniu.

### Rendez-vous z Marią Janion

Spotkaliśmy się kilkakrotnie. W Świątyni Literatury, przed tymi samymi, trochę zaniedbanymi przez polskich czytelników, ołtarzami (książkami, autorami). Nie zawędrowałem tu pod wpływem tekstów Janion, sam przyszedłem.

Kleist i Goethe. Kleist – cały. Z Goethego – *Wilhelm Meister* i, dla mnie zwłaszcza, *Powinnowactwa z wyboru*. Jak się ucieszyłem, że napisała książkę o *Wielkiej Meistrze*...



Ale to temat na osobną medytację, trochę o „kwestii smaku”, bardziej może o „intuicjach istotności”, które nami kierują. Tu zbieram okruchy pamięci, a te z Świątyni Ducha wyganiają mnie w świat materialny, tam, gdzie się książkami handluje, gdzie można je kupić lub wypożyczyć.

Nie sposób się nie spotkać, nie zderzyć, kiedy pragnie się tego samego materialnego przedmiotu, tego – jedyne dostępne – egzemplarza książki.

W iblowskiej bibliotece na stelażu, albo w gablocie, wyczekiwane francuskie nowości. Prawie zawsze z wsuniętą karteczką: „prof. Janion”. Był to święty przywilej pierwszeństwa, nawet prośbę o możliwość zajrzenia na chwilę do zarezerwowanej książki bibliotekarka odczuwała jako transgresję.

We Wzorcówce – księgarni w Pałacu Kultury – podaż francuskiego deficytu była kapryśna. Najpierw prawie wszystko i w kilku egzemplarzach, więc kupić można było zaraz; później po jednym egzemplarzu i w homeopatycznych dawkach. Na zarezerwowaną książkę trzeba było poczekać do zmiany wystawy i jej nie dostać, bo ktoś miał prawo pierwokupu.

W tym „podkupowaniu” nie było dramatu, dopóki miałem dobrego pana Mieczysława z księgarskiej centrali. Musiałem tylko dłużej czekać.

Dramat, a właściwie melodramat, odgrywaliśmy corocznie po Międzynarodowych Targach Książki. Przemiałą mediatorkę grała pani kierowniczka Działu Książek Importowanych w Księgarni MON, tej w „domu bez kantów”, a potem w megaksięgarni na rogu Belwederskiej i Gagarina. Dla Janion żywiła pobożny szacunek, mnie po prostu lubiła jako grzecznego natręta.

Janion procedowała w dwu etapach. W pierwszym odkładała wszystko, co jakoś mogło ją zainteresować. W drugim wybierała starannie, i przez wzgląd na kieszeń, i z myślą o tym, czego domaga się Jej biblioteka – najważniejszy współlokator. Pierwsza sterta była ogromna, ale poniechanych książek pozostawało sporo. Chyba tylko raz przeglądałem stertę razem z Panią Profesor, skwapliwie potakując, kiedy miała wątpliwości, czy tę czy inną książkę musi mieć. W sam na sam z mediatorką wykazywałem nieoczekiwany dla siebie tupet, sugerując, że wiem, co Uprzywilejowana Osoba wybierze. I że nawet nie zauważy małych ubytków w ofercie. Tupet, ale w najlepszej wierze: nigdy nie podkupiłem książki, o której wiedziałem już, że to może być lektura Janion.

A mina mediatorki, kiedy uzurpator zabierał książki? Trochę zawstydzona, ale nie bez łobuzerskiego mrugnięcia.

Kończę, zawstydzony, ale nie bez łobuzerskiego mrugnięcia.

(Mrugać w krypcie pamięci? „Nieładnie” – powiedziałyby znajoma Janion i moja konserwatystka).

## IV

Jak nie zostałem profesorem i jak nie napisałem żadnej z moich książek

(1)

Kiedy zwracają się do mnie: „profesorze”, czuję się nieswojo.

Perswazje Inki Brodzkiej i Staszka Balbusa skłoniły mnie, w późnym, o krok od emerytury, wieku, do zrobienia habilitacji. Dałem Ince słowo. Zostałem, och, nie od razu, za to już na zawsze, doktorem z przymiotnikiem, nieużywanym zresztą w wołaczu. Więc dalej: „(panie) doktorze!”.

Wolałbym: „No i co, doktoru?”. Być miłym fajtlapą, podobnym do Ryana O’Neala w filmie Bogdanovicha. Brzydszym i ponurawym, ale z podobną ciężką walizką (zamiast kamieni – „cegły”, czyli książki). I z szansą spotkania odpowiedniczki Barbry Streisand...

W 1965, kiedy zaczynałem staż w Katedrze Teorii Literatury, nie wyglądałem na niedorajdę. Raczej na zbyt pewnego siebie. Pani Ola i Pani Teresa mogłyby to potwierdzić. Obstawałem przy swoim, nie byłem przyjemniaczkiem. Parłem naprzód...

(Piętnaście lat później, kilka dni po tym, jak przyniosłem jej, z lakoniczną, ale najstaranniej wykaligrafowaną dedykacją, *Jak czytać utwory fabularne*, profesor Mayenowa, schodząc ze schodów w Pałacu Staszica, zatrzymała mnie, obdarowała lekkim, choć semantycznie złożonym uśmiechem i powiedziała tylko: „A myślałam, że pan jest złym człowiekiem...”.

To była najcudowniejsza recenzja!

I przestałem być podejrzanym osobnikiem, na którego jej pewnie wyglądałem, strugając żarliwego bezpartyjnego komunistę, [nad]używającego Łotmana w pracy magisterskiej o Jasieńskim, którą recenzowała [egzamin w pamiętnym gabinecie Stefana Żółkiewskiego na dwudziestym pierwszym piętrze], a i potem, kiedy obracałem się w złym towarzystwie...

(Przyszły) profesor nie musi być przyjemny, ale powinien liczyć się ze środowiskiem, bo ono podtrzymuje drabinę awansów i mianowań: jak drabina się przewróci, nie wespnie się po szczeblach stopni i tytułów.

Na początku szło dobrze. Doktorat napisałem przed terminem, czekał na recenzję Stefanii Skwarczyńskiej, opóźnioną, bo Pani Profesor chorowała. Promotora zmuszono przed rokiem do odejścia z UW, ale to nie było żadną przeszkodą. P.O. – kierownictwo Katedry objęły panie, kuratorem był wzór życzliwości – profesor Libera. Wystąpiły jednak „trudności obiektywne”: nie było dla mnie etatu.

O zatrudnieniu w IBL-u pisałem w memoresce o Marii Janion. Podobało mi się tam średnio. Intelktualnie mobilizowała inicjatywa Zofii Stefanowskiej: konwersatorium, a może

Pracownia Psychosocjologii literatury, chyba taka była nazwa, ale tu czułem się trochę obco. Jeszcze dogorywała Pracownia Żółkiewskiego, ta afiliowana przy Pierwszym Wydziale PAN; spotykaliśmy się z zatroskanym profesorem Porębskim, zbierającym tom prac semiotycznych, który miał się nie ukazać.

### Jak nie zostałem semiotykiem – intermedium

Jerzy Pelc był prawdziwie przystojnym profesorem. Studentki polonistyki, którym wykładał logikę, podziwiałały w nim nie tylko urodę, ale też wirtuozerię dyskursu, a podziw zmieniał się w zachwyty na ostatnim wykładzie: z ust profesora płynął nienaganny logiczny wywód, ręka zaś podpisywała dwieście indeksów, starannie przekreślając „tz” i „z” i wpisując właściwe „c”.

Studenci opanowywali logikę w niezbędnym dla polonistów zakresie raczej na ćwiczeniach, które sugestywnie prowadziła Barbara Stanosz. Przez pewien czas myślałem, że – paradoksalnie – logika jest dyscypliną nacechowaną seksualnie; dopiero zajęcia z Natalią Adamiak (kiedy próbowałem filozofii jako drugiego kierunku) wyprowadziły mnie z błędu.

Był to rok, w którym MZK przekwalifikowało konduktorów na kontrolerów („kanarów”). W trolejbusie odwożącym profesora Pelca na Dolny Mokotów pojawiła się metalowa skrzynka z dziurą i wajchą: bilet nieskasowany nieważny. Uczony mocuje się z wajchą, w bilecie ani śladu legalizującej perforacji. Raz, drugi...

Podchodzi zniecierpliwiony przedstawiciel klasy rządzącej, zabiera bilet i kasując go, burczy: „Logyki pan nie masz!”.

\*\*\*

Zawodu semiotyka uczyłem się samodzielnie, przeszedłem też przeszkolenie na interdyscyplinarnym konwersatorium u Żółkiewskiego. Pierwsza próba zmanifestowania, że skończyłem terminować, była klapą. W pośpiechu napisałem dziesięć stron manifestu pod tytułem *Człowiek i znaki*, a Marek Trostaniecki zaniósł to do Hybryd, gdzie właśnie przygotowywano almanach, w którym miało się ukazać. Z almanachu nici, dowód mojej dzielności zaginął.

Z Bogdanem Owczarkiem, który też czekał na wyzwoliny, postanowiliśmy zrobić coś samodzielnego: semiotyczną analizę przysłów. Pięćdziesiąt stron, schematy, przykłady, wnioski. Księga dla Żółkiewskiego, do której tekst był przeznaczony, nie ukazała się nigdy.

Warszawa w ostatnich dniach sierpnia 1968 miała być stolicą światowej semiotyki. Ale Roman Jakobson utknął w Wiedniu, bo Pakt Warszawski się popisał. Nie przyjechali najważniejsi Rosjanie. Zamiast Nowego Rzymu – ostatnie dni Pompejów.

Były też pozytywy: Polskie Towarzystwo Semiotyczne, afiliowane przy Światowym, i – wreszcie – semiotyczny periodyk „Studia Semiotyczne”; Jerzy Pelc redaktorem odpowiedzialnym.

W polityce redakcji stosowano surowe kryteria: tylko znane profesorskie nazwiska i logiczne nudziarstwo. Semiotyka kultury? Wykluczone! Semiotycznie pomyślana analiza tekstu literackiego? Gdzieżby! Gdyby Roman Jakobson przysłał którąś ze swoich analiz gramatyki poezji pod przybranym, byle jakim nazwiskiem, trafiłaby do kosza.

Terminatorów dopuszczano tylko w roli słuchaczy na konferencjach. Ach, Radziejowice! Jak pięknie! Jaka nuda...

\*\*\*

Układaliśmy listę lektur z teorii literatury, kiedy właśnie miała się ukazać książka Pelca *O znaczeniu wyrażeń*<sup>2</sup>. Wpisaliśmy ją „na ślepo”. Po przeczytaniu mogliśmy ją ze spokojnym sumieniem wykreślić.

\*\*\*

Nie rezygnując z nabytych semiotycznych nawyków, przestałem używać słowa „semiotyk” na określenie swojej tożsamości.

(2)

Rok minął, czwarty rok naszego synka, dom stawał się ważniejszy od naukowych instytucji.

Wynalazkiem władz, represyjnym w kontekście pomarcowym, był wymóg jednoetatowości. Trzeba było wybierać. Z UW pozbyto się więc tych, którym bliżej było do IBL-u, nawet jednoetatowców. Odbierano to, nie bez martyrologicznej stylizacji, jako wyrzucenie. Pomiędzy Uniwersytetem a Pałacem Staszica wyrósł niewidzialny płot. I choć były w nim poluzowane sztachety, rysował się scenariusz jak w *Sąsiadach*.

A ja, trochę z tęsknoty za studentami i kolegami, wróciłem do uniwersyteckiej Teorii: był etat.

Profesor Żółkiewski skrzywił się, zdziwiony: przecież coś by mi w następnym roku perspektywicznego w IBL-u znalazł... Przejść od Marii Janion, a właściwie od niego, do Andrzeja Lama, teraz kierownika Katedry? Niepojęte!

To była tylko roczna przerwa, być może błogosławiona, bo trochę przewiało pomarcowy smog i w pokojach na Oboźnej zrobiło się znośniej. Najnobliwszy i najlepiej wykształcony z „marcowych docentów” rządził liberalnie jeszcze jedenaście lat. Był od 1972 najstarszy rangą, habilitowany, wkrótce profesor. Moje z nim relacje nie były serdeczne, ale znaleźliśmy się od dawna, mieliśmy nawet zabawną wspólną tajemnicę, a ja miłą porękę (plus dobrą opinię pani Donaty).

<sup>2</sup> Janusz Pelc, *O użyciu wyrażeń* (Wrocław: Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1971) [przyp. red.].

Katedra była zrazu zróżnicowana, bo oprócz ludzi siedzących w poetyce i teorii literatury (ta ostatnia była w dydaktyce nowością), miała teatrologa, badacza kultury ludowej, historyka książki, historyka myśli społecznej (po secesji trzon Katedry Kultury Polskiej).

Ja siedziałem w samym pępku, zdołałem go semiotyczną bizuterią: Propp, Greimas, Barthes, Kristeva, Łotman, Iwanow, Toporow... W herbie miałem obowiązkowego Bachtina, wtedy kontrowersyjny znak rozpoznawczy „bandy” z Oboźnej. Ale nie byłem harcownikiem.

Wcześniej próbowałem. Rycerska walka w słusznej sprawie wydawała mi się nawet rodzajem obowiązku. Raz, bezczelny, nieopierzony magister, napisałem długą i bardzo krytyczną recenzję fundamentalnej książki powszechnie szanowanego profesora. Zaniósłem Żółkiewskiemu, a on przywołał mnie do rzeczywistości jednym spojrzeniem. (Pewnie napiszę o tym w memoresce o swoich [nie]publikacjach: *Grajewski w koszu na śmieci*). Drugą, udaremnioną, próbą była rozbudowana polemika z *Pamfletem na strukturalistę* Kasperskiego, koleżeńska i merytoryczna, w obronie strukturalizmu w ogóle i *Powieści młodopolskiej* Michała Głowińskiego w szczególności. Nie analizowałem obskuranckiego podtekstu *Pamfletu*, pominąłem jego pomarcowy smrodek. Redaktor przeczytał, przyznał rację, powiedział, że spróbuje przechnąć. Ale ówczesna redakcja „Współczesności” była na wylocie, ostrożna w publikacjach, które przyspieszyłyby zwolnienia. Więc nikt się nie dowiedział o mojej rycerskości.

Chyba odszedłem od tematu. Choć może nie całkiem. Stałem się rozważny i sceptyczny. Dobrze. I niedobrze.

Udoktorowanie i adiunktyzacja, osiągnięty któryś szczebel... Aliści (to nie moje słóweczko, ale miało godnych [nad]używaczy...) nie bez defektów.

Praca doktorska, jeśli z przychylnymi recenzjami (a recenzja Stefani Skwarczyńskiej była miejscami entuzjastyczna), powinna być opublikowana. A właśnie – rozrzutność początków Gierka – znalazły się środki na serię wydawniczą, której portfel zapełniać się zaczął maszynopisami doktoratów. Też złożyłem, profesor Żółkiewski namawiał.

Dość szybko dostałem recenzję. Wręczył mi ją w którymś z iblowskich pokoików Michał Głowiński, który serię firmował. O pracy niczego od siebie nie powiedział, tylko „w pełni zgadzam się z recenzją”, a na egzemplarzu napisał: „Proszę uwzględnić uwagi recenzenta”.

Recenzję napisał Janusz Sławiński. Była zadziwiająca. Wielkopańska i napastliwa. Żadnych konkretnych uwag o tym, co wymaga poprawy, samo kunsztowne wybrzydzenie. Wyrażnego „nie” dla publikacji nie znalazłem.

Przykre.

Nietaktowne, ale (to myślałem wtedy, odurzony jeszcze polityczną *hubris*) taktycznie skuteczne.

Przyjąłem rzecz filozoficznie. Powiedziałem sobie: „Nikt nie jest bez wad” i (to moja chrześcijańska *hubris*) współczułem Sławińskiemu.

Nic się nie stało. Mały symptom, a dla mnie pozyteczny prztyczek.

\*\*\*

Dlaczego nie liczyłem się z opinią Sławińskiego i myślałem sobie: to jego problem, a nie mój?

Janusz Sławiński był znakomitością. Jego teksty i ustne wystąpienia odznaczały się błyskotliwą precyzją, koherencją systemu pojęć, staraniem o uchwycenie całości, dobitnością. Był sugestywny. Ton: jakby mówiąc, rozwiewał swoje (i słuchaczy) wątpliwości, nadawał nawet najbardziej suchym rozważaniom cechy rewelacji. Stał się guru polskiego literaturoznawstwa, ustanawiał na lata jego mainstream, jego pojęciowy kościec.

Był Mistrzem. Ale, wiadomo, mistrzem czynią ograniczenia.

Uformowany/zdeformowany intelektualnie przez inne lub inaczej czytane teksty, odmienne tradycje, nieuleczalnie inny, nie byłbym w stanie włączyć się w ten nurt. Obserwowałem go nieuważnie ze swojego brzegu, umiałem rozpoznać spójny system pojęć (dla profana: zasób memów i tików), ale to nie była moja teoria.

O recenzji nigdy nie rozmawialiśmy, podczas konferencyjnych dyskusji zachowywaliśmy życzliwą neutralność, w kontaktach towarzyskich pomiędzy panem Januszem a panem Wickiem regułą była promienna życzliwość. Rozmawialiśmy, jak dżentelmeni, o pogodzie.

Temat merytoryczny pojawił się tylko raz. Świetny w roli zaambarasowanego habilitanta, poprosił mnie o konsultację (przed kolokwium trzeba troszkę się bać) na temat, łatwo zgadnąć, Julii Kristevej i grupy Tel Quel...

A co z moim maszynopisem?

Po obronie, jeszcze przed recenzją, zacząłem na tę *Powieść polską lat 1918–26. Problemy socjologicznej interpretacji form literackich* patrzeć jak na wstępną wersję czegoś wyrazistszego, domyślanego, jaśniejszego w konstrukcji. Zmieniłem tytuł. Teraz były to *Idee i sympomy*. Lokalne poprawki, na początek. Ma być jaśniej, bardziej „ludzkim językiem”, zwięźlej...

Ale...

Sześć lat wcześniej w Połczynie podczas przerwy w konferencyjnych debatach weterani i nowicjusze wyszli przed budynek odetchnąć mroźnym powietrzem. Stanęli, niektórzy już zmarznięci, przytupując, w kilkusobowych grupkach. Spontaniczny wielość wyłonił temat: co się liczy w nauce, co gwarantuje powodzenie. Zapadło mi w pamięć tylko dictum Michała Głowińskiego:

*SITZFLEISCH.*

Wytrwać, kiedy ogarnia cię przeraźliwa nuda, kiedy nie widać końca pracy, siedzisz i dłużysz dziś, będziesz siedział jutro, i jutro, i jutro...

Maraton w siedzeniu. Wytrenowana, już prawie fizjologiczna, cierpliwość.

Rozsądna dawka tej cnoty bardzo by mi się przydała. Okazałem się jednak sprinterem.

Przebiegnij, czy raczej przesiedź, krótki odcinek. Będziesz miał coś, kawałek większej całości. Po przerwie usiądziesz znowu i do rana następny kawałek. I tak, sama, bez przymusu, złoży się całość. Zaczynać i kończyć. Kończyć i zaczynać.

Pierwsza próba: zetknąć jeden wybrany koncept z materiałem, który (z) badałem w pracy. Gdyby prowadziło to tylko do znalezienia ilustracji, nie modyfikowało pojęcia, nie rzucało nowego światła na analizowany zespół tekstów, było bezproblemową układanką, dałbym sobie spokój i szukał czegoś innego, choć trochę podniecającego, prowokacyjnego.

Tematem najbliższej konferencji teoretycznoliterackiej miała być tradycja. Napisanie kilkunastu stron referatu – miał tytuł *Tradycja w powieściowym modelu kultury* – było sprintem. Kibicował, patronował mi Derrida. Niósł mnie impet dekonstrukcji. Przenicowałem kilka powieści. Tradycja zaczęła się rozszczeplać, komplikować, poruszać w różnych tempach, między stagnacją a rewolucją. W utworach i pomiędzy nimi. Napisane było zgrzebnie, tak sobie.

Czytałem to (mówiłem na kanwie napisanego) dla szczupłego grona, jeszcze bez uznanych autorytetów. Jeden głos w dyskusji mnie poruszył: „Ten tekst z jego metodologią, podejściem do literatury przypomina mi szafę, która drze ubrania...”.

Chuligan, Kuba Rozpruwacz, nieczuły barbarzyńca?

Redaktor pokonferencyjnego tomu, profesor Trzynałowski, wrzucił maszynopis do kosza. Nie pamiętam, pod jakim pretekstem. Chyba niezrozumiałstwa.

Zająć się czymś innym. Spokojnie. Krok po kroku, byle systematycznie.

Dr Grajewski na uniwersyteckim etacie.

(Druga część *Memoresek* ukaże się także w czasopiśmie „Autobiografia”).

PROSIMY O CYTOWANIE ARTYKUŁU JAKO:

Wincenty Grajewski, „Memoreski (część pierwsza)”, *Autobiografia. Literatura. Kultura. Media* 1 (2022), 18: 145–159. DOI: 10.18276/au.2022.1.18-12.